

Rafał Klimczak

ilustrowała Agnieszka Filipowska

Mikołaj pod choinkę



Wydawnictwo Skrzat
Kraków

o Świętym Mikołaju

Przez setki lat św. Mikołaj z Miry, powszechnie znany jako Święty Mikołaj, uszczęśliwiał dzieci prezentami. Był pierwszym, ale nie ostatnim świętym, który się tym zajmował. Nadszedł bowiem taki czas, kiedy nawet on poczuł zmęczenie oraz potrzebę nowych wyzwań, i poprosił o zastępstwo.

Pierwszego zastępcę wyznaczył osobiście, ale kiedy także i ten zechciał przejść na emeryturę, postanowiono powołać urząd Świętego Mikołaja. Od tej chwili Mikołaje wybierani są na okres stu lat w drodze konkursu. A ponieważ jest to tytuł bardzo, ale to bardzo prestiżowy, starają się o niego całe zastępy świętych. W komisji konkursowej zasiadają same sławy: św. Franciszek, św. Antoni, św. Dominik, a przewodzi im sam św. Piotr!



A co ma z tego sam szczęśliwy zwycięzca? Otóż naprawdę wiele! Otrzymuje bowiem:

★ prawo noszenia tytułu
Świętego Mikołaja;



★ *czzerwony strój*, którego co zimę wypatruje każde dziecko;

★ *worek bez dna*
(tylko taki może pomieścić wszystkie prezenty!);

★ *niezwykłych pomocników*, rekrutowanych spośród małych aniołków;



★ *ultraszybkie mikołajowe sanie*, zaprzężone w renifery. Tak szybkie, że w porównaniu z nimi nawet samolot odrzutowy jest wolny niczym ślimak;



★ *mikołajową łaskę* (znaną jako pastorał) oraz... wiele innych pomocnych gadżetów i wyjątkowych umiejętności.

Wszystko zaś po to, aby Święty mógł do każdego zdążyć na czas. Cóż bowiem jest więcej warte niż spełnione dziecięce marzenia i niekończące się uśmiechy...

W niniejszej książce poznacie przygody obecnie urzędującego Świętego Mikołaja i jego anielskiej kompanii: Anielki i Gabrysia! Świętego niezwykłego, bo noszącego imię Mikołaj. Tylko Mikołaj z Miry mógł się pochwalić takim imieniem, ale wtedy nie powołano jeszcze mikołajowego urzędu. Nasz bohater więc jako pierwszy może przedstawiać się jako Święty Mikołaj Mikołaj.



Mikołaj i pierwsze kłopoty

– Co też się znowu stało?! – zapytał Święty Mikołaj Mikołaj, obudzony nagłym szarpnięciem.

Sanie ciągnięte przez renifery gwałtownie stanęły, niemalże wyrzucając go z kanapy. Całe szczęście, że miał zapięte pasy.

– Śnieg się skończył – poinformował aniołek Gabryś, podnosząc się z podłogi. Miał pyzată buzię z nielicznymi piegami i mały, zadarty nosek. Westchnął z rozżaleniem i nałożył na głowę czerwoną czapeczkę. Wyglądał w niej niczym skrzat. Tyle że próżno szukać skrzata ze skrzydłami.

– Co za czasy! – Mikołaj załamał ręce. – I jak tu dochować tradycji?

Gabryś, upewniwszy się, że czapeczka trzyma się na jego jasnych loczkach, zaproponował dwa rozwiązania. Robił tak zawsze, bo lubił mieć wybór, nawet jeśli druga opcja była zupełnie nieprzydatna.

– Albo przejdziemy na inny napęd, albo możemy jechać dalej, aż zedrzemy płozy...

Renifery tu i ówdzie skubały świeżą trawę, zupełnie niezainteresowane ziemskimi problemami. Przywykły już do tego, że od kilku lat święta Bożego Narodzenia były bardziej zielone niż białe. Nie miało to jednak dla nich większego znaczenia, gdyż te niebiańskie stworzenia mogły ciągnąć sanie zarówno po ziemi, jak i w powietrzu.

W końcu głos zabrała Anielka, jak zawsze pewna siebie i zdecydowana. Nie czekała na rozstrzygnięcie sprawy przez Mikołaja, tylko stanęła za pojazdem, mocując się z dźwignią przełącznika.

– Pracuję w tej branży od zawsze – zaczęła, odgarniając czarne, kręcone włosy – i zapewniam cię, że brak śniegu to nie problem!

– Terefere – mruknął pod nosem Święty.

Nie był zachwycony, kiedy przypominała mu o swoim doświadczeniu i znajomościach. Zwłaszcza z Mikołajem z Miry, którego nazywała poufale „Pierwszym”. Obecny Mikołaj sprawował swoją funkcję już od trzydziestu lat, a jednak wciąż coś go zaskakiwało. Taka praca.

– Gotowe! Dalej możemy lecieć.

Sanie uniosły się bezszelestnie, pociągając renifery. Zwierzęta zaryczały zdegustowane, że przerwano im

jedzenie, ale nikt się tym nie przejął. Może poza kilkoma wystraszonymi gołębiami, które rozpierzchły się po okolicznych drzewach. Chwilę później zaprzęg gnał przed siebie, sunąc prościutko niczym po niewidzialnej autostradzie.

– Ho, ho, ho! – zawołał Święty Mikołaj Mikołaj. – Trzymajcie się mocno.

Sanie mknęły niczym błyskawica, zostawiając za sobą lasy, jeziora, łąki, a potem znowu lasy, kolejne jeziora i łąki, aż wreszcie ujrzeni pod sobą domy. Oznaczało to tylko jedno: początek misji!

– Nareszcie – ucieszył się Mikołaj. – Zobaczcie, czy te domy mają kominy!

Było to dość istotne, bo przez wieki prezenty trafiały do dzieci właśnie taką drogą. Jednak od pewnego czasu ludzie zamieniali piece na ogrzewanie wykorzystujące chociażby gorące wody podziemne albo panele fotowoltaiczne, czyli słoneczne. Pół biedy, kiedy zostawały choć kominy wentylacyjne. Coraz częściej jednak brakowało nawet takich.

Aby wyjść naprzeciw nowym wyzwaniom, zarówno Mikołaj, jak i jego pomocnicy musieli używać swoich

niebiańskich mocy. Kiedy domy nie miały kominów, pakowali prezenty w przezroczyste bańki. Dzięki temu pakunki przenikały przez dachy i pozostawały niewidzialne dla dziecięcych oczu aż do wigilijnego wieczoru. Było to bardzo wygodne, ale komin to zawsze komin. Zimowa załoga czuła do nich szczególny sentyment.

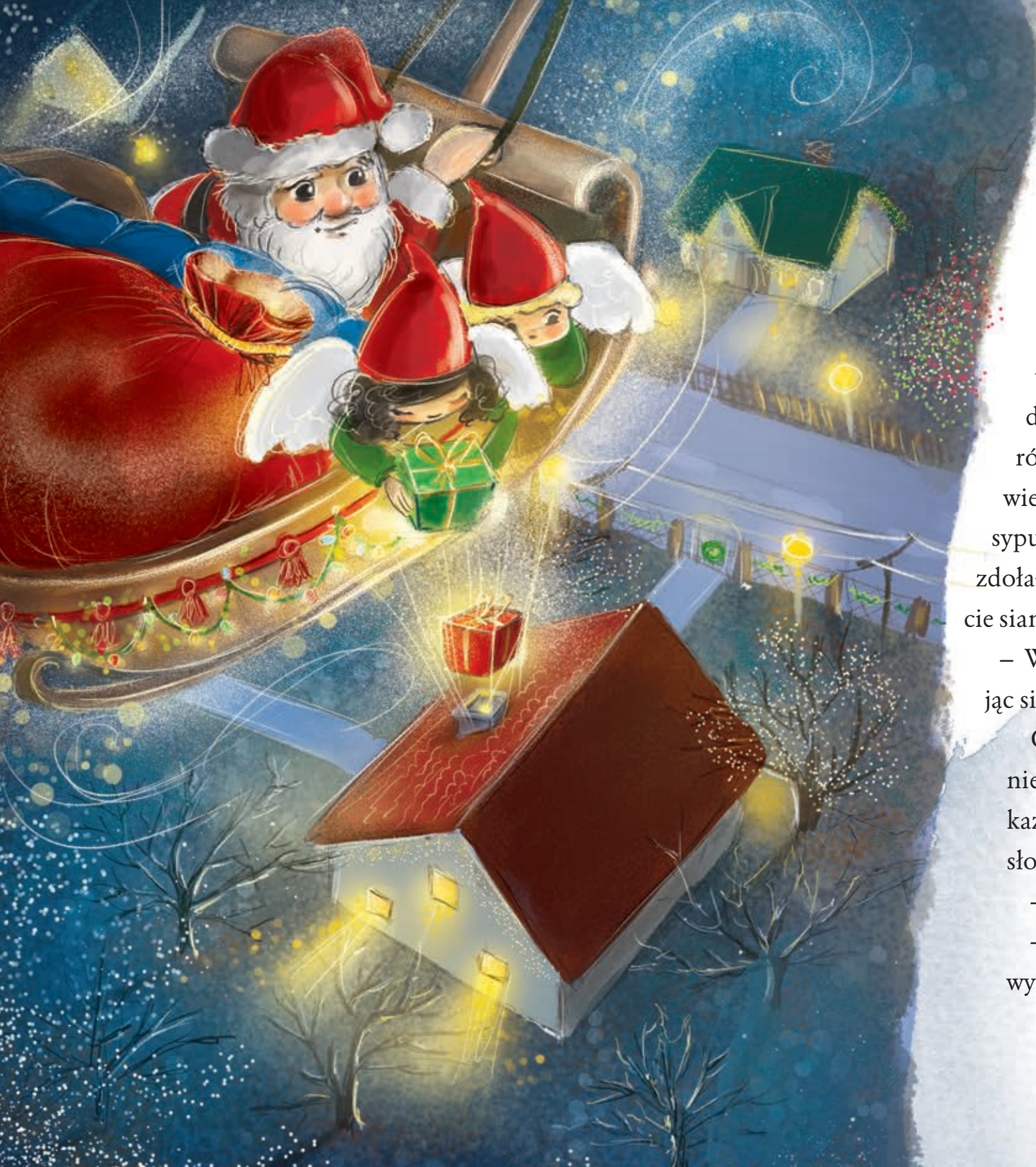
– Tu są – poinformowała Anielka. – Musimy zniżyć lot.

– Przygotować się do zrzutu! – wydał komendę Mikołaj, podkreślając swoją pozycję dowódcy. Pięknie spakowane paczki powędrowały z worka wprost w ręce małych aniołków.

– Rzucam na trzy! – zawołał Gabryś, po czym wycelował prezentem tak, aby ten nie dotknął żadnego z brzegów komina.

– Też mi coś. – Anielka wydęła usta, po czym zmrużyła oko i rzuciła dwa podarki jednocześnie, dokładnie w sam środek wąskiego otworu.

Zawody stawały się coraz bardziej emocjonujące. Paczki wędrowały jedna po drugiej do kolejnych domów, a Mikołaj rozdzielał je szybko i bez przestojów. Pewnie skończyliby pracę w tej wiosce w rekordowym tempie, gdyby nie jeden maleńki kłopot. Właściwie to wcale nie taki



maleńki, bo mierzył trzydzieści metrów wysokości, a był nim wiatrak. Nazywany przez ludzi siłownią wiatrową, bo wytwarzał energię. Nie wiadomo dlaczego został zignorowany przez renifery. Przemknęły wprawdzie obok jednej łopaty, ale druga trafiła w sam środek zaprzęgu, przecinając dyszel i uprzęż. Pojazd natychmiast stracił równowagę, spadając z impetem w środek wielkiego ogrodu. Sanie przekoziołkowały, rozsypując po drodze całą masę prezentów. Załoga zdołała szczęśliwie wyskoczyć i wylądowała w stercie siana, przygotowanej do ocieplenia krzewów.

– Wielkie nieba! – zawołał Mikołaj, wygrzebując się jako pierwszy.

Czapa zsunęła mu się na bok, odsłaniając niewielką aureolę, którą miał prawo nosić jak każdy święty, a długą siwą brodę zdobiły liczne słomki oraz uschnięte listki.

– Co się właściwie stało?

– Technika nas pokonała – odparł Gabrys, wypluwając z buzi ususzone żdźbła.